

Helga von Tannenberg

czyli

Dalsze losy bawarskiego rodu

Z bardziej błyskotliwym narratorem,

Kilkoma wątkami i setką bohaterów.

Ale bez Polski.

*Każda wystarczająco zaawansowana technologia
jest nieodróżnialna od magii.*

Sir Arthur Charles Clarke

Umrze naród, w którym umarli bohaterowie.

Leonidas

Wstęp

Dzieje Alberta von Tannenberg znanego praktycznie wszystkim. Mówiono o nim w podrzędnych karczmach i zamkach, na salonach, w królewskich komnatach, a nawet w Watykanie. Był bohaterem.

Czas przeszły użyty jest tutaj nie bez przyczyny, gdyż Główny Administrator zestarzał się i w niczym nie przypominał już pełnego energii mężczyzny dumnie wkraczającego na Wawel. Gdy jego stan zdrowia uniemożliwił mu dalsze sprawowanie władzy, przeniósł się do Frankensteiny, miasteczka na Śląsku.

Tak właśnie przyszli na świat Ermenfryd, Leowigild, Aldhelm, Frydolin, Nother, Winitalda, Torkil, Imelda, Engelbert, Radegunda, Melizanda i Helena. Co ciekawe, choć dzieci Alberta miały 12 różnych matek, w tym kilka o dosyć, rzekłbyś, egzotycznej urodzie, wszystkie wyglądały niezwykle podobnie do swojego ojca. Helena natomiast była idealną kopią swojego ojca, jakiej nie byłby w stanie stworzyć nawet sam mistrz Rafael. Chodzą plotki, że nie obyło się bez magii, mówili tak jednak głównie zazdrośnicy, nie mogący się nadziwić, że Albert von Tannenberg mimo ośmiu krzyżyków na karku wciąż może i to z sukcesem. Czy raczej – dwunastoma sukcesami.

Tak płynęło życie towarzyskie we Frankensteinie i gdyby nie śmierć Ojca Narodu, zapewne wyczerpałby się zbiór imion germańskich i wśród potomków Pogromcy Polski znalazłby się jakiś wielmożny Mitrydates, nadobna Grzymisława czy szarmancki Masahiro.

Komentarz [S1]: Nie bez przyczyny użyłem tu czasu przeszłego. Zestarzałem się i w niczym już nie przypominałem Głównego Administratora dumnie spacerującego po Wawelu. Gdy mój stan zdrowia nie pozwolił już dłużej sprawować władzy, coś... umarłem. Zanim to jednak nastąpiło, przeniósłem się do Frankensteiny, miasteczka na Śląsku.

Po śmierci Alberta głową rodziny został najstarszy syn – Ermenfryd. Za życia ojca był bardzo skryty. Rzadko zabierał głos w czasie wspólnych posiłków i stronił od zabaw i spotkań z rówieśnikami. Zawsze jedynie siedział nieruchomo i pilnie słuchał.

Ludzie tłumaczyli sobie jego małomówność wielkim autorytetem Alberta, który przecież onieśmiał prawie każdego. Okazało się jednak, że jak to zwykle bywa, ludzie się pomylili. I, jak to zwykle bywa, ta pomyłka był tragiczna w skutkach. A teraz, jak to zwykle bywa, by nie zdradzić od razu wszystkiego, zręcznie zmienię temat.

Rozdział pierwszy

Bracia Mauserowie nie mieli powodu do narzekania. Jako doradcy wielkiego Alberta byli praktycznie najważniejszymi ludźmi w kraju, a to dawało ogromne możliwości.

Ich pracownia znajdowała się w okazałej kamienicy na jednej z uliczek łączących Wawel z Rynkiem. Zatrudniali 20 pomocników i dysponowali najnowocześniejszymi technologiami. Albert von Tannenberg zagwarantował im nieograniczony budżet z czego chętnie i często korzystali. Władca był technokratą i uwielbiał specjalne pokazy, jakie dla niego organizowali, prezentując nowinki techniczne.

Nic więc dziwnego, że wiadomość o śmierci ich przyjaciela, bo tak najtrafniej można opisać ich wzajemne relacje, niezwykle ich poruszyła. Oznaczało to, że Głównym Administratorem zostanie od lat do tego przygotowywany jego najstarszy syn – Ermenfryd. Choć Mauserowie tego nie okazywali, nie darzyli go przyjaźnią. Wydawał się im podstępny i zupełnie niepodobny do Alberta. Mieli jednak cichą nadzieję, że choć ten jeden raz dane im będzie się pomylić.

Dekret Króla (oby żył wiecznie i zniósł podatki) mówił jednak jasno: podstępni, wredni czy głupi, potomkowie Alberta będą mieli pierwszeństwo do ubiegania się o tytuł Głównego Administratora. W przypadku, gdy urzędujący zarządca rzeknie się stanowiska, jego rolę przejmie Król Bawarii (oby żył wiecznie i zniósł podatki), aż do uzyskania pełnoletniości przez najstarszego z potomków. W tym przypadku – jeszcze pięć dni.

Ermenfryd po śmierci ojca zajął opuszczone przez niego kilkanaście lat wcześniej komnaty na Wawelu. Choć oficjalnie jeszcze nie był Głównym Administratorem, przez te kilka dni, jakie pozostały do uroczystego nadania tytułu służba i doradcy traktowali go już jako władcę.

Od lat obserwował swojego ojca przy pracy i próbował określić, jaki jest stosunek Króla Bawarii (oby żył wiecznie i zniósł podatki) i Głównego Administratora. Oboje mieli identyczną wizję rozwoju podbitych terenów, jednak on, Ermenfryd, miał nieco ambitniejsze plany. Nie bez powodu niedawno całej Europie groziło podbicie przez TUTAJ NAZWA. W tych ludziach tkwi potężny potencjał, którzy ci głupcy marnowali na rozwój kultury i gospodarki.

Tuż po uroczystości, już jako Główny Administrator, Ermenfryd zostanie wezwany do Króla (oby żył wiecznie i zniósł podatki) na tajną naradę, na której zostaną mu powierzone największe tajemnice TUTAJ NAZWA.

- Jak śmiesz mówić, będąc w moim zamku, co mam robić?! To ja tu rządzę! – wrzasnął Ermenfryd, wyciągając sztylet zza pazuchy i mierząc nim w pierś Króla (oby żył wiecznie i zniósł podatki).

Ledwo wyciągnął broń, doskoczyło do niego dwóch strażników i kamerdyner, wszyscy z obnażonymi długimi, wąskimi nożami. Od tyłu zaszła go służąca, chwytając za głowę i przykładając ostry jak brzytwa nóż do gardła Ermenfryda. Po szyi pociekła cieniutka strużka krwi.

- Cóż, może faktycznie ty tu rządzisz – powiedział spokojnie Król (oby żył wiecznie i zniósł podatki), powoli podnosząc się z fotela – Ale to ja mam władzę.

Komentarz [S2]: Awantura po ceremonii

Rozdział drugi

Karczma "Pod krzywym ryjem" nie cieszyła się najlepszą sławą. Będąc bardziej dosadnym, można by się pokusić o stwierdzenie, że był to najbardziej obskurny szynk w całym Krakowie.

Na domiar złego, jakby na złość arystokracji i bogatym kupcom, mieścił się w podwórzu kamienicy przy ulicy Brackiej. Jak się tam znalazł pozostaje wielką zagadką, podobnie jak postać właściciela tejże kamienicy. W miejskich rejestrach w rubryce "właściciel" zapisano jedynie "chędoż się".

Niejeden kupiec i niejeden mieszkaniec próbowali pozbyć się uciążliwego lokalu, wszyscy jednak ginęli bez śladu. Znalazł się raz nawet pewien nadgorliwy komendant straży, który zapowiedział ostateczne rozwiązanie problemu. Następnego dnia po deklaracji spłonął jednak ratusz i od tamtego czasu władze zapomniały o istnieniu problematycznego lokalu.

Mimowolnie przypominając sobie wszystkie te opowieści, Konrad stał niepewnie w bramie ilicy Brackiej. Czuł, że serce wali mu jak szalone. Podwórze było ciemne i odstrasające. Wszędzie walały się resztki mebli, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach moczu i wymiocin. Zdecydowanie nie tak wyobrażał sobie służbę dla kraju, gdy kilkanaście lat temu aplikował na posadę skryby w ratuszu.

Powoli i ostrożnie, przypominając sobie wszystkie zbrodnie popełnione w Krakowie w ostatnich kilku latach, sekretarz wszedł w czarną otchłań rozświetloną jedynie mdłym światłem padającym przez niemiłosiernie brudne okna karczmy.

Nagle uderzył w coś dużego i śmierdzącego.

- No proszę, co taki grzeczny chłopczyk robi w takim niegrzecznym miejscu - zapytał potężny cień, chwytając Konrada za poły płaszcza.

- Jestem tu w interesach - miało to zabrzmieć twardo i zdecydowanie, jednak drżący głos popsuł efekt.

- W interesach? Chłopaki, słyszycie go? W interesach! - cień zarechotał głośno, a podwórze ochoczo mu zawtórowało kilkunastoma głosami. - O twój... interes tu nikt nie zadba, burdel jest kilka ulic dalej. Tu możesz co najwyżej w mordę dostać! - znowu rechot.

- Mam pieniądze...

- W to nie wątpię. Ale już niedługo. Jak mam cię kocham, obiecuję, że już niedługo! - w ciemności rozbłysły złote zęby odsłonięte w szerokim uśmiechu.

- Jestem sekretarzem Wielkiego Administratora - w końcu udało się zapanować nad głosem - i szukam ludzi godnych zaufania gotowych poświęcić się dla kraju. Za sowitą zapłatą rzecz jasna.

- To ostatnie mnie przekonało - gdzieś zza pleców cienia odezwał się niski, wibrujący głos. - Włodek, zaprosz pana do środka, nie będziemy rozmawiać o interesach na tym paskudnym podwórzu.

Cień odsunął się na bok i popchnął sekretarza w stronę trzymających się tylko na słowo honoru drzwi karczmy. Cicho drepzcząc, podążyło za nimi kilkunastu roślących drabów.

"Pod krzywym ryjem" z pewnością nie było urządzone przez artystę. Karczma składała się z dużej, stosunkowo jasno oświetlonej sali z ciężkimi dębowymi ławami i stołami. Jediną zaletą tych topornych mebli była ich waga, która skutecznie uniemożliwiała ich wykorzystanie w burdzie. W gęstych kłębach tytoniowego dymu gdzieniegdzie unosiły się strzępki powietrza.

Jediną kobietą w całym tym przybytku była barmanka. Nijak jednak nie przypominała filigranowych szlachcianek o bladej cerze i delikatnych dłoniach. Ze swoimi ostrymi rysami twarzy, potężną sylwetką i sprośnymi tatuażami idealnie pasowała do otoczenia. Gdy wycierała brudny kufel jeszcze brudniejszą ścierką, mięśnie ramion niebezpiecznie grały pod skórą, wzbudzając respekt i strach nawet wśród zaprawionych w bójkach rzezimieszków.

Wszystkie stoły były zajęte. Zatrzymaliśmy się na środku karczmy.

- Włodek, czy my czasem nie mieliśmy rezerwacji na ten stół w rogu? - spytał posiadacz niskiego wibrującego głosu, barczysty drab z gęstą, czarną brodą. - Weź chłopaków i jakoś to wyjaśnij. Tylko grzecznie! Nie chcemy przecież zdenerwować Jagienki!

Włodek rzucił coś pod nosem, skinął na trzech kompanów i ruszył w kierunku stolika wepchniętego w róg tuż przy barze. Nim siedzący przy nim zbóje się zorientowali, leżeli już na podłodze, okładani pięściami i buciorami przez Włodka i jego kompanów.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w karczmie zapanował chaos. Wszyscy poderwali się z miejsc i ruszyli w stronę bójki, przekrzykując się nawzajem i kibicując. Kilku stanęło w obronie kopanych. Jakiś zasuszony staruch z długą, siwą brodą i chytrymi oczkami zaczął zbierać zakłady.

Kolejni kibice dołączali się do bitki, opowiadając po tej stronie, na którą postawili pieniądze. Bójka ogarnęła cały lokal i tylko dwie osoby stały nieruchomo pośrodku tej burzy. Konrad, który przywarł przerażony do jednej z kolumn oraz staruch, liczący jak gdyby nigdy nic pieniądze, chichocząc przy tym cicho.

Bójka przybierała na sile i powoli stronnictwo Włodka zaczęło ustępować pod naporem wściekłego ataku przeciwników. Gdy zostali przyparci do ściany, spór wydawał się zmierzać ku ostatecznemu rozstrzygnięciu. Broniąc się zaciekle, kilku drabów sięgnęło do butów i za pazuchy skórzanych kamizel. Błysnęły noże.

- Ekhm. - potężne chrząknięcie zawibrowało nad głowami walczących. Momentalnie zapanowała cisza. Jagienka, nie przerywając wycierania coraz brudniejszego kufla, rozejrzała się po swojej karczmie. Wszyscy zamarli w bezruchu, niektórzy w komicznych pozach. Powoli, piorunowani groźnym wzrokiem uroczej niewiasty, wszyscy zaczęli się wycofywać do swoich stolików. Wyrzuceni przez Włodka, przeklinając na czym świat stoi, pokuśtykali w stronę wyjścia. Kilka uderzeń serca później w karczmie panował całkowity spokój.

Konrad znalazł się na środku ławy przy "zarezerwowanym" stole, mając po jednej stronie Włodka, a po drugiej jakiegoś niewysokiego draba, który usiłował zatamować rękawem krwotok z nosa - jeden z nielicznych śladów niedawnej bitki.

Po przeciwległej stronie siadł herszt bandy, ten z głębokim głosem oraz kilku jego ziomek. Reszta stała dookoła, potęgując tylko uczucie ciasnoty i przytłoczenia.

- Jestem Olaf - przedstawił się szef tej radosnej gromadki.

- Konrad von Blauschild, sekre...

- Dobra dobra, starczy samo imię, na co nam te konwenanse? Przejdźmy lepiej od razu do tego, czego wszystkim potrzeba. Pieniędzy. Ile i za co?

- Tysiąc florenów za pomoc Głównemu Administratorowi.

- Tysiąc florenów? Niezła sumka, nie powiem, ale racz pan zważyć, że nas jest osiemnastu. A jak jaśnie oświecony nie chce sobie rączek brudzić, to sprawa może być paskudna i potem będzie trzeba się gdzieś zaszyć na kilka lat. A to kosztuje! Ostatnio wszystko drożeje. W zeszłym tygodniu byłem w zamtuzie i jak się dowiedziałem, ile sobie życzą za...

- Tysiąc na głowę.

- No no... - oczy Olafa gwałtownie się rozszerzyły - Wchodzimy w to.

- Jeszcze nie powiedziałem o co chodzi.

- Chłoptasiu, za tysiąc florenów to każdy z nas pójdzie choćby do samego piekła Lucyfera w dupę pocałować. Mam rację?

Rozległ się gromki okrzyk aprobaty. Wszystkim drabom świeciły się oczy na myśl o bogactwie, które było na wyciągnięcie ręki.

- Główny Administrator obawia się, że część jego rodzeństwa nie pogodziła się z faktem, że to on przejął władzę po ojcu. Jutro będzie chciał z nimi porozmawiać i namówić do wyjazdu z Krakowa.

- Ile ten cały administrator ma lat?

- 18, jest najstarszy.

- Czyli mamy bronić smarkacza przed smarkaczami? Hehe, dobre... Wie ktoś z tych bachorów, z której strony trzyma się miecz? - Olaf zarechotał.

- Jeden jest bardzo wprawnym szermierzem, ale o tym później.

- Wiesz co, sekretarzyku? Wyczuwam w tym wszystkim jakiś haczyk... Chcesz nam zapłacić po 1000 florenów za to, żeby jakieś bachory nie zrobiły ała innemu bachorowi?

- Mniej więcej.

- I ja mam w to uwierzyć?

- W skarbcu nie brakuje złota, a Głównemu Administratorowi bardzo zależy na załatwieniu tej sprawy bez żadnych zgrzytów.

- Gdzie i kiedy mamy się pojawić?

- Jutro o świcie pod główną bramą zamku.

- Będziemy. I lepiej, żeby były też tam nasze pieniądze.

Na głównym dziedzińcu Wawelu na chwilę przed świtem pojawiło się dwóch strażników. Nieśli duży stół zбитy z grubo ciosanych beli dębowego drewna. Chwilę po nich, ciężko dysząc, pojawił się trzeci strażnik, niosąc balię wypełnioną dużymi sakiewkami. Cała trójka klęła na czym świat stoi. O świcie kończyli wartę i o tej porze najczęściej siedzieli już w koszarach, popijając gorzałkę i rzucając sprośne kawały. A teraz, nie wiedzieć czemu, musieli dźwigać ten pieprzony stół i górę złota na sam środek dziedzińca.

Gdy dostrzegli przechadzającego się powoli i podgwiszującego wesoło sekretarza, błyskawicznie zamilkli. Większość przekleństw dotyczyła właśnie jego osoby.

- Przynieśliśmy wszystko, czego sobie życzyłeś, sekretarzu - powiedział pierwszy ze strażników, lekko się klaniając i wskazując stół, na którym niosący sakiewki opierał się szeroko rozłożonymi rękami, z trudem łapiąc powietrze. Wyglądał, jakby z chęcią powiedział sekretarzowi, co myśli na temat jego, świtu, umiejscowienia skarbcza w podziemiach, stromych schodach, gęstości złota i dwunastogodzinnej warcie, jednak nie był w stanie wydusić z siebie słowa ze zmęczenia.

- Dobrze, bardzo dobrze. Dziękuję wam.

- W czymś jeszcze możemy pomóc, sekretarzu? - zapytał pierwszy strażnik ku przerażeniu trzeciego.

- Ach, racja, dobrze że mi przypomniałeś. Tak, jest jeszcze jedna sprawa. Ty jesteś już wolny, a wy dwaj - tu wskazał na dwóch pozostałych strażników - wy zostaniecie na wszelki wypadek, jakby tym drabom przyszło coś głupiego do głowy.

Pierwszy ze strażników uroczyście zaszalutował, odwrócił się i obdarzając dwóch nieszczęśników szerokim uśmiechem udał się w kierunku ciężkich, dębowych drzwi w rogu dziedzińca, wymyślając kolejne niecenzuralne kawały, którymi będzie mógł się pochwalić w koszarach.

//dlaczego jest ich tylko 15 (Olaf+Włodek+13), gdzie się podziało 3 drabów:

- A gdzie reszta? - Konrad spytał, wskazując na 3 sakiewki, które zostały na stole.

- Aaa, bo chłopaki dostały sraczki. Jagienka znowu musiała wrzucić coś świeżego do gulaszu i nieprzyzwyczajone żołądki tego nie wytrzymały. Ale jeśli nie będzie to problemem, to przekażemy im te sakieweczki - czy Olafa zabłąsły.

- Nie, zapłata należy się za zadanie, a ich tu nie ma. Ich strata. Sakiewki wędrują do skarbcza - sekretarz skinął na jednego ze strażników, który podszedł do stołu, zabrał sakiewki i oddalił się niespiesznie, odprowadzany tęsknym wzrokiem rzezimieszków.

- Gdzie jest ten szczył, którego mamy pilnować?

- Po pierwsze, nie szczył, tylko Główny Administrator Ermenfryd. Jak jeszcze raz niepoprawnie go zatytułujecie, to obetnę wam połowę żołdu. I gdzie macie broń?

- Chłoptasiu, wielkie miecze są dla tępych idiotów, co potrafią tylko ginąć za ojczyznę z modlitwą na ustach. A my, jak widzisz żyjemy, choć niejeden już próbował ten stan rzeczy zmienić. - Olaf chytrze się uśmiechnął - mamy broń, o to się nie martw. Im mniej widać, tym lepiej.

- Dobrze, mniejsza z tym. Chodźcie za mną.

Udał się labiryntem korytarzy, schodów i galerii, prowadzących do prywatnych komnat Ermenfryda. Mijana służba rzucała im ukradkiem przestraszone spojrzenia i przyspieszała kroku.

Sekretarz otworzył drzwi bez pukania, korzystając z jednego z licznych przywilejów, jakimi się cieszył. Wskazał zapraszającym gestem wewnątrz dużej komnaty obwieszanej licznymi arrasami, przepuszczając Olafa, Włodka i pozostałych drabów przodem. Gdy wszyscy weszli, zamknął cicho drzwi i stanął przy ścianie.

- A więc to są ci wspaniali, dzielni fecht mistrzowie gotowi poświęcić swe życie w imię wyższych idei, o których tyle mi opowiadał Konrad... - Olaf chciał najwidoczniej sprostować, ale Ermenfryd nie pozwolił sobie przerwać, stanowczym ruchem dłoni dając znak, że chce dokończyć - ...tak, to na pewno o was chodzi... Zabawne, bo jak do tej pory miałem mojego sekretarza za osobę zdrową na umyśle, a najwidoczniej się pomyliłem.

Główny Administrator przechadzał się powoli, krążąc po komnacie. Stawiał kroki wzdłuż wąskiego na bordowego paska na obrzeżach owalnego dywanu, znajdującego się na środku pomieszczenia. Uwielbiał to robić, odkąd tylko nauczył się chodzić. Podążanie za wzorem na dywanie lub parkiecie pozwalało zebrać myśli i rozwiązać nawet najtrudniejsze problemy. Także i te piętnaście obdartych i niegodnych zaufania problemów stojących w butach, które nigdy nie widziały pucybuta, na pięknym, polerowanym na wysoki połysk parkiecie.

Nikt nie odważył się odezwać.

- Niemniej jednak, teraz jest już za późno, musimy działać. Obyście okazali się choćby w ułamku tak wspaniali, jak mi was rysował sekretarz. - Ermenfryd zatrzymał się gwałtownie i wodził wzrokiem po twarzach najemników. - Zanim przystąpicie do swojego zadania, musicie wiedzieć, kto jest z wami, a kto przeciwko wam. Znacznie więcej jest tych drugich...

Władca zaklaskał. Drzwi w rogu komnaty otworzyły się i weszło około trzydziestu ludzi. W większości byli to prości rzemieślnicy lub nawet służba, znalazło się jednak też troje młodych arystokratów w bogatych strojach, dumnie zadzierających nosa.

- Przyjrzyjcie się dokładnie wszystkim obecnym w sali. Nie może im spaść włos z głowy. To jest moja rodzina, a także najwierniejsza służba, co do której nie mam żadnych podejrzeń o spiskowanie przeciwko mnie. Resztę zabijcie.

Zapanowała całkowita cisza. Większość zebranych patrzyła na Ermenfryda z przerażeniem, podejrzewając, że się przestęszala lub że to jakiś bardzo niewybredny kawał w wykonaniu młodzieńca. Jedynie sekretarz sposepniał, zdając sobie sprawę, że nie ma już odwrotu, to się dzieje na prawdę.

- Jaką resztę? - zdołał po chwili zapytać Olaf.

- Wszystkich, którzy znajdują się na zamku. Bez względu na stan i funkcję, którą piastują. Bez względu na wiek i płeć. Wszystkich. To są zdrajcy na usługach tego dziadygi z Monachium, tylko to im się należy. Jeden z was zostaje przed tą komnatą i nikogo nie wpuszcza. Wszystko jasne?

Ermenfryd nie czekał na odpowiedź. Ruszył w kierunku drzwi prowadzących do dalszych prywatnych pomieszczeń, a za nim podążyli wszyscy zgromadzeni. Jedynie jedna ze szlachcianek, o czarnych kręconych włosach, wyszła szybkim krokiem na korytarz.

Po chwili w krwistoczerwonej od promieni zachodzącego słońca komnacie zostali tylko najemnicy i Konrad. Panowała kompletna cisza.

W końcu Olaf otrząsnął się z szoku i podbiegł do sekretarza wciąż stojącego pod ścianą. Chwycił go za kubrak i przycisnął do muru.

- Co to ma być?! Mieliśmy go chronić przed bandą smarkaczy! Nie było mowy o pieprzonym zamachu stanu!

- Czy to nie ty mówiłeś, że za takie pieniądze zrobisz wszystko, nawet diabła w zadek pocałujesz? - odparł z lekko wymuszonym uśmiechem Konrad.

- Szubrawiec! Mamy go bronić, zabijając cały zamek?!

- Oto właśnie chodzi. Możesz ufać tylko tym, którzy są w tej sali. Resztę zamku masz unieszkodliwić najpóźniej do świtu.

- Jesteś szaleńcem! To kilkuset ludzi, a nas jest ledwie garstka!

- W większości są nieuzbrojeni albo za chwilę będą spać. Lepiej weźcie się do roboty, bo noc wcale nie jest tak długa, jak się wydaje.

- Jesteś szaleńcem! - Olaf zwolnił chwyt. Głos mu lekko drżał z emocji. Stali tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy. Zimna, pozbawiona emocji twarz sekretarza wyglądała jak woskowa maska i kontrastowała z czerwoną, przerażoną twarzą herszta bandy.

W końcu Olaf skinął na swoich drabów i wyszli z sali, wciąż zszokowani.

- To nie ja jestem szaleńcem... - sekretarz stał teraz sam pośrodku komnaty płonącej ostrą czerwienią ostatnich promyków słońca - To Ermenfryd.

// tutaj motyw, jak Imelda idzie do Frydolina

Frydolin stał przed wielkim lustrem w swojej komnacie i walczył z włosami. Musiały być dokładnie ułożone przed snem, w przeciwnym razie następnego dnia będą wyglądały okropnie. I żaden przewrót stanu w tym nie przeszkodzi.

Układał właśnie niesforną falę ciemnobrązowych włosów przy pomocy grzebyka i wymyślnych drucików, gdy dobiegło go skrzypnięcie drzwi. Już trzy razy kazał je naoliwić, ciągle jednak nie udało się wyeliminować nieznosnego dźwięku. Obrócił się.

W drzwiach stała piękna, wysoka kobieta. Miała na sobie wysokie, skórzane jeździeckie buty. Wpuściła do nich obcisłe spodnie z matowej skóry. A wyżej...wyżej był już tylko gorset, podkreślający jej kocią sylwetkę i wydatne piersi.

- Imelda! Co ty tu robisz? Myślałem, że wyjechałaś z pozostałymi - spytał zaskoczony.

- Nie mogłam cię zostawić w takim niebezpieczeństwie kochany.

- Właśnie wręcz POWINNAŚ mnie teraz zostawić i wyjechać w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Przecież nie wiemy, co ten szaleniec planuje, może faktycznie chce nas pozabijać...

- Nie przesadzaj, przecież to nasz brat. Pewnie chciał nas tylko nastraszyć.

- Może i nasz brat, nigdy mu jednak nie ufałem... - Frydolin nie wydawał się przekonany.

- Jesteś przewrażliwiony. - Imelda zamknęła za sobą drzwi i podeszła bliżej, pozwalając objąć się w pasie - To tylko zagrywka polityczna. Wszyscy, którzy uciekli, wyeliminowali się z walki o władzę.

- Czyli zostałeś nie dla mnie, tylko dla władzy - uśmiech zniknął z twarzy młodzieńca.

- Oczywiście, że dla ciebie, głuptasku - dziewczyna przygnęła mocniej do swojego ukochanego i spojrzała na niego zalotnie zmrugniętymi oczyma. - Władza nie potrafi tak dobrze całować.

Najpierw delikatnie musnęła jego wargi, a następnie już zdecydowanie, namiętnie je pocałowała. Trwali tak przez chwilę, delektując się bliskością. Ich serca zabiły mocniej, oddech stał się szybszy i płytszy.

Imelda popchnęła go delikatnie w stronę wielkiego łóża z baldachimem. Gdy na nim wylądował, siadła mu na kolanach, mocno obejmując udami. Palce chłopaka szukały początku tasiemki trzymającej gorset. Dziewczyna zaczęła ściągać swój prawy but.

Wtem z cholewki wyciągnęła krótki sztylet i wbiła go w plecy Frydolina, wprawnie omijając żebra, trafiając w samo serce. Chłopak zarzęził cicho.

- Chociaż wiesz co? Może i władza mnie nie pocałuje, ale da mi sporo więcej przyjemności. - powiedziała z filuternym uśmieszkiem.

Imelda wstała z wielkiego łóża, poprawiła but i ściągnęła obluźowaną tasiemkę z gorsetu. Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując się na chwilę na twarzy brata, zastygłej w wyrazie bólu wymieszanego z zaskoczeniem. Następnie wyszła z pokoju, ignorując wielkie lustro. Wiedziała, że jest piękna.

Leowigild czuł się nieco zagubiony. Nigdy nie ufał do końca swojemu starszemu bratu, jednak pomysł z przewrotem stanu wydawał się szalony i niedorzeczny nawet jak na niego. A może to była

tylko taka zagrywka, żeby przetestować lojalność swojego rodzeństwa? Może dzisiaj uda się z nim szczerze porozmawiać.

Gdy skończył się przebierać, spojrzał w lustro. Choć okoliczności nie nastrajały optymistycznie, nie umiał powstrzymać lekkiego uśmiechu. Wyglądał wytwornie. Piękna granatowa kurtka haftowana złotymi nićmi przyjechała do niego prosto z Florencji. Była jednak warta każdych pieniędzy.

Poprawił szeroki, stylizowany na modę sarmacką pas i spojrzał na zegar. Dochodziła szósta popołudniu i za oknami było już ciemno. Jedyną wadą jesieni były krótkie dni.

Nieco się zaniepokoił, bo omówił się z Frydolinem na kwadrans po piątej. Wciąż go jednak nie było, choć wyróżniał się spośród rodzeństwa świetnym poczuciem czasu i punktualnością. Zniecierpliwiony zaczął krążyć po pokoju.

- Paniczu Leowigildzie! - jedna ze służących wpadła zziębnięta do komnaty. Wyglądała na przerażoną. - Tragedia! Matko przenajświętsza, jaka tragedia!

- Spokojnie. Uspokój się. Co się stało? - Leowigild starał się nie ulec panice służki.

- Panicz Frydolin nie żyje! Leży na łóżku ze sztyletem! Jak tyłkom to zobaczyła, pobiegłam od razu tutaj!

Zapadła cisza. Leowigild stał przez chwilę w bezruchu, nie mogąc uwierzyć, co słyszy. Czyżby ten głupiec faktycznie chciał wyróżnić pół Krakowa?

- Paniczu, co teraz? - wyrwała go z odrętwienia służąca.

- Zostań w komnacie. Albo nie. Lepiej stąd uciekaj, najlepiej do piwnic z winem. Tam nikomu krzywdy nie zrobisz, wino jest zawsze potrzebne, a nikt poza służbą się na nim nie zna.

- Ale jak to tak...?

- Nie dyskutuj, biegnij tam i nie wychodź stamtąd. Jak po drodze zobaczysz gdzieś Radegundę, weź ją ze sobą. Zrozumiałaś?

- Tak, ale...

- Nie czas na dyskusje! - Leowigild nakładał na florencką kurtkę pasy, do których były przytroczone dwa niezwykle bogato zdobione sejmitary, dar od pewnego maharadży, przysłany w zamian za kilka karabinów konstrukcji braci Mauserów. Wyglądał teraz jak Alladyn na europejskich miniaturach. - Trzeba powstrzymać tego szaleńca!

Komnaty Frydolina znajdowały się niemal dokładnie na drugim końcu zamku, tuż niedaleko nadwornego krawca. Młodszy brat przejawiał wręcz niezdrowe zainteresowanie modą i swoim wyglądem, często godzinami przesiadując z krawcami i dyskutując o aktualnych trendach mody.

Leowigild biegł ile sił w nogach, zadręczając się myślami, że może gdyby udało mu się namówić brata na mieszkanie bliżej komnat pozostałego rodzeństwa, uniknąłby teraz śmierci.

Na korytarzu było cicho i pusto. Nic nie wskazywało na przewrót stanu. Zamek wydawał się senny i spokojny, wręcz sielsko spokojny. Leowigild zadrżał, otwierając drzwi do komnat brata. Może to tylko jego kolejny żart?

Ciało leżało na plecach na wielkim łożu. Ręce były szeroko rozrzucone, a otwarte wciąż oczy wpatrywały się w bogato zdobiony baldachim. Krew zdążyła już przesiąknąć przez grubą materac i zastygła w cienkiej strużce płynącej po nierównych deskach parkietu.

Leowigild zbliżył się ostrożnie do łóżka. Nigdzie nie było widać rany, więc odwrócił ciało. Tak jak się spodziewał, w plecach tkwił mały sztylet.

Pociągnął za rękę. Ostrze ustąpiło z przyporządkowanym o mdłości młasknięciem. Na sztylcie wygrawerowano misterną czcionką "ISIA". Tak mówili na Imeldę, choć tego niecierpiała.

Torkil nie do końca rozumiał, co się dzieje. Zaskoczyło go, że Ermenfryd, który jak do tej pory traktował go raczej pogardliwie, bardzo dużo z nim rozmawiał. Jeszcze bardziej zaskoczyło go, że Leowigild, wydawałoby się szlachetny i prawy brat, tak stanowczo sprzeciwiał się woli Boga, którą to przecież wypełnia Ermenfryd.

Najstarszemu z braci objawił się we śnie sam archanioł Jehudiel, przekazując mu misję wyzwolenia Polski. Przestrzegł jednocześnie, że tak jak i wśród apostołów, tak i w rodzeństwie pod przykrywką fałszywej dobroci kryć się będą sługi samego Lucyfera, gotowe zrobić wszystko, by pokrzyżować boskie plany.

Na ich czele będzie stać Leowigild. Oszalały z zazdrości zaprzedał swoją duszę diabłu, pragnąc pozbawić swojego starszego brata władzy. Do tego on, Torkil, nie mógł dopuścić!

Dotarł do komnat zdrajcy. W okolicy panowała grobowa cisza, jedynie z oddali, z drugiej strony dziedzińca, dochodziły stłumione odgłosy walki. Czyżby brat spał? Powoli położył ogromną dłoń na klamce.

- Czego tu szukasz? Widziałam cię z Ermenfrydem! - Radegunda wyrosła jak spod ziemi - Czego chcesz?

- Nie twoja sprawa. Wypełniam dzieło Boga, taka smarkula jak ty nic z tego nie zrozumie.

- Dzieło Boga? Ty nic nie rozumiesz! Ermenfryd Cię zmanipulował, on jest zdrajcą, chce nas pozabijać!

- Nie mieszaj się w to siostrzyczko - rzucił lekko już zdenerwowany Torkil, bezkustecznie naciskając klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. - Gdzie jest Leo?

- Nic ci do tego! Nie zabijesz go! - wrzasnęła piskliwie, sięgając po długi, prosty nóż tkwiący za paskiej i sięgający jej aż do łydki. - Ja na to nie pozwolę!

- Smarkulo, idź stąd, póki się nie zdenerwuję na dobre! Jesteś za mała, jeszcze nic nie rozumiesz. Nie rozróżniasz dobra od zła. Zmykaj, ale już!

- Nigdzie nie idę!

- Zachowujesz się jak rozkapryszony bachor! Mów gdzie jest Leo, albo zejdziesz mi z drogi i nie przeszkadzaj w dziele bożym.

- Ale Ty jesteś głupi, braciszku - wyszczała jadownicę Radegunda, mrużąc przy tym prowokacyjnie oczy - Przecież Boga nie ma!

Tego było za wiele. Torkil poczuł, jak jego żyły wypełnia ogień. Ogarnęła go wściekłość. Sięgnął po szablę i rzucił się w stronę opętanej przez szatana siostry. Ostrze zaszczało wyciągane z kabury, prowadzone szeroki, potężnym cięciem na odlew.

Radegunda pisnęła przerażona. Chwyciła nóż oburącz, przekrzywiła go i złożyła się do zasłony. Uderzenie było jednak zbyt potężne. Szabla wytrąciła jej broń rąk i wbiła się w ciało, łamiąc przy tym obojczyk i żebra. Płonące fanatycznym szałem oczy brata były ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła.

Leowigild mknął w szaleńczym pędzie przez pałacowe korytarze. Mijał ciała służby, myszkujących po komnatach rzezimieszków i przegrupowujące się niedobitki straży.

//tutaj motyw, że wpada na tego nieszczęsnego trzeciego strażnika, który przeklina że najpierw stół, potem zamach stanu, a teraz jeszcze spada ze schodów. Oczywiście dyszy.

Wbiegł na dziedziniec. Na środku stało kilku rzezimieszków. Jeden zabawił się z jakąś dziewczką przywiązaną do wozu, reszta czekała na swoją kolej, głośno wiwatując i rzucając niewybredne komentarze na temat techniki i wyposażenia draba z opuszczonymi spodniami.

Na widok bogato ubranego Leowigilda wyciągnęli broń i ruszyli w jego stronę, licząc zapewne na łatwy łup.

Leo sięgnął po obydwie szable skrzyżowane na plecach i ruszył pędem przez dziedziniec w stronę drzwi do drugiego skrzydła. Najemnicy dreptali bezładną grupką, wymachując krótkimi mieczami we wszystkie strony, starając się przestraszyć młodego szlachcica. Nie wiedzieli najwidoczniej, że fechtunku uczył się u potomka słynnego Zawiszy Czarnego, samego Gerałta z Błotnowoli.

Gdy walczący znaleźli się zaledwie kilka kroków od siebie, Leowigild niespodziewanie przyspieszył, choć wydawało się to już niemożliwe. Zawirował w tanecznym rytmie, ostrza błysnęły w rozedrganym świetle rzucanym przez pochodnie przyćpione do murów w równych odstępach.

Leżąca na ziemi zrezygnowana dziewczka, ignorując postękiwania obłęsnego wielkoluda, obserwowała niecodzienne starcie. Wydawało jej się, że gdy ten przystojny, długowłosy młodzieniec zawirował tuż przed nosem jej przyszłych kochanków, obie strony minęły się, nie będąc w stanie zadać ani jednego celnego ciosu. Gdy jednak akrobata zniknął na ciemnych schodach po przeciwległej stronie dziedzińca, trzech oprychów upadło z rozciętymi tchawicami w błoto, a czwarty stał oniemiały, drżąc jak osika.

Leowigild przystanął na chwilę na pierwszych stopniach i obejrzał się za siebie. Trzech padło, jeden stał niedraśnięty, z tępym wyrazem twarzy gapiąc się na ciała swoich towarzyszy. Spudłował. Geralt nie byłby zachwycony... Ale było ciemno, a wdzierający się powoli na dziedziniec Księżyc oświeślał akurat wszystkie wdzięki leżącej na wozie dziewczki, co rozproszyło go i niedokładnie wyprowadził cięcie...

Ruszył schodami w górę. Ledwo łapiąc oddech, popędził galerią nad dziedzińcem i wpadł na korytarz prowadzący do jego komnat. Zamarł z przerażenia.

Na podłodze, we krwi, leżała Radegunda z głębokim cięciem od prawego obojczyka. Nad nią, wciąż z szablą w ręce, stał Torkil. Usłyszał nadbiegającego brata i odwrócił głowę w jego stronę. Oczy wciąż błyskały niebezpiecznym ogniem.

- Cemu stajesz na drodze dzieła Boga? - spytał nie swoim głosem - Cemu wmieszałeś w to naszą siostrzyczkę?!

- Głupcze, nie widzisz, co robi Ermenfryd? Nie widzisz, że to zdrada?

- Widzę, właśnie za tą zdradę zapłacisz!

Torkil zacisnął palce na rękojeści swojej szabli i zaczął zbliżać się w stronę starszego brata. Buzująca w jego żyłach wściekłość nie pozwalała trzeźwo myśleć. Widząc stojącego w bezruchu przeciwnika, rzucił się ze zwierzęcym rykiem do przodu, biorąc potężny zamach.

Leowigild tylko na to czekał. Wiedział, że jego brat jest bardzo silny, liczył jednak na jego głupotę. Teraz, biorąc tak cudaczny i teatralny zamach, był całkowicie odsłonięty, wręcz bezbronny.

Gdy znaleźli się bardzo blisko siebie, w odległości kilku kroków, ramię Torkila zaczęło opadać w potężnym ciosie. Leowigild odskoczył błyskawicznie w prawo, lekko obracając tłów do tyłu. Wyprowadził morderczy atak, wykonując szybki ćwierćobrót. Końcem lewego ostrza szukał tętnicy szyjnej, prawym ciął nżykiem celując w brzuch. Przez żołądek do serca. Lekcje kulinarnej sztuki miłości u mistrza Pierre'a von Maklowitz w końcu się na coś przydały.

Torkil, rozpędzony niczym wściekły byk, nie zdążył zareagować. Poczut szarpnięcie idące od szyi aż do prawego ucha i tępy ból w przeponie. Z impetem zwałił się na Leowigilda, którego mistrzenie haftowana kurtka była teraz cała we krwi.

Poczut przeraźliwe zimno. Powoli twarz przygniecionego brata stawała się coraz mniej wyraźna. Torkilowi wydawało się, że leci do tyłu, wgłąb swojej głowy. Zamkowy korytarz ustępował powoli przerażającej, bezdennej pustce.

- Grzeszysz - wyszeptał z trudem, patrząc na zamazaną twarz brata w oddali. Potem nie było już nic.

Leowigild z trudem odrzucił ciało Torkila na śliską od krwi posadzkę. Leżał przez chwilę ciężko dysząc. Cała ta sytuacja go przerażała. Nie sądził, że Ermenfryd będzie zdolny do takiego szaleństwa. Owszem, zawsze wydawał mu się nie do końca godny zaufania, jednak był również rozsądny. Musiał sobie zdawać sprawę z konsekwencji zamachu stanu. W co on grał?

Popatrzył na ciało brata. Było mu go żal. Choć może niezbyt inteligentny, był dobrym i pobożnym człowiekiem. Łatwo go było jednak zmanipulować, co z zimną krwią wykorzystał Ermenfryd.

Wstał powoli. Podniósł z posadzki jedną szablę, drugą wyszarpnął z ciała Torkila i wytarł o jego spodnie.

Rozmasowując obolałe po upadku na kamienną posadzkę żebra, Leowigild zbliżył się do ciała Radegundy i ostatni raz popatrzył w jej malutką, dziecięcą twarzyczkę. Łzy napłynęły mu do oczu. Była taka młoda... I tak ambitna...

Rozpacz szybko ustąpiła miejsca wściekłości. To wszystko przez Ermenfryda! Brnąć tak daleko w swoich szaleństwach musiał sobie zdawać sprawę, że Leowigild tak tego nie zostawi. Zabijając własne rodzeństwo przekroczył pewną granicę, zza której nie ma już powrotu - tam można tylko zginąć.

Leowigild był strasznie zmęczony. Kilka walk i ciągły, szaleńczy bieg sprawiły, że czuł odrętwienie w nogach i ramionach. Na szczęście teraz nie musiał już nigdzie biec, wszystko co było do stracenia, już stracił.

Poszedł spokojnym krokiem w kierunku komnat starszego brata, zdecydowany zabić każdego, kto stanie na jego drodze.

Wawel był przerażająco pusty i cichy. Gdzieś tam na korytarzach leżały ciała służby, a na ścianach widniały misterne pajęczyny skrzepłej krwi. Wydawało się, że to zamek krwawi, w ciszy i pokorze odchodząc z tego świata.

Za załomem muru dobiegły ściszone głosy przynajmniej kilku osób. Dyskutowano o czymś żywiołowo, próbując bezskutecznie dojść do jakiegoś kompromisu. Leowigild szybkim susem doskoczył do krawędzi muru uciekającej w boczny korytarz i zamarł w bezruchu, wstrzymując nawet oddech.

- Nie możemy już nic zrobić! Jesteśmy zbyt słabi i jest nas za mało. A ta hołota poczuła już smak złota, wina i dziewczek, walczy teraz jak opętana... - pierwszy głos był zrezygnowany.

- Nie przesadzaj, rębajło jak rębajło, z odciętą głową już tyle zapachu nie ma! - drugi starał się podtrzymywać morale kompanów.

- Ale o czym tym mówisz, Zbyszek? Jaką odciętą głowę? Nas ćwiczą w musztrze i paradnej jeździe konno, a oni od małego wywijają mieczem. Zanim my zetniemy jedną głowę, naszych poleci kilka. - studził emocje pierwszy.

- To co w takim razie robimy, skoroś taki mądry? - zaczętnie spytał drugi głos.

- Ja bym się położył spać... Od zasranego ranka należy mi się ciepłe łóżko, a tymczasem ganiam jak szalony. A to balię ze złotem wnieść, a to rzeźmieszków eskortować, a to Administratorowi mapy przynieść, a to udaremnić przewrót stanu... - użalał się znany skądś głos.

- Heniu, skończ jęczeć, nikt nie ma łatwo tej nocy. - nie wytrzymał czwarty, dotąd milczący.

- Potrzebujemy dowódcy, ot co! - piąty głos był niski i zachrypnięty.

- Może ja? - spytał pewnym głosem Leowigild, wychodząc zza węgła i stając w świetle pochodni.

- Panicz Leowigild! - rozległo się chórem - myśleliśmy, że te draby panicza zabiły!

- Nie tak łatwo mnie zabić... Co się stało?

- Zaskoczyli nas, ot co - właściciel pierwszego głosu splunął na ziemię - większość zarżnęli zanim zdążyli sięgnąć po broń, nikt nie był na to przygotowany. Z początku było ich kilkunastu, ale szybko dołączyło do nich paru stajennych i tragarzy. Widać mieli na pieńku z koniuszym i podczaszym i postanowili upiec dwie pieczenie na jednym ogniu - odegrać się na nich, a może i uratować własną skórę. Chociaż, jak mam być szczerzy, to pewnie już dokonali żywota, bo te draby pilnują, żeby było jak najmniej sakiewek do podziału.

- A co z Ermenfrydem?

- Tego nie wie nikt, ale pewnie siedzi ciągle w swoich komnatach, obawiając się wyjść na zewnątrz, żeby czasem i jego te draby nie capnęły. W końcu skoro tak dobrze idzie, to kto wie, czy do tych łbów nie przyjdzie pomysł, żeby przejąć nie tylko cały zamek, ale i państwo!

- Dobrze zatem. Ruszam pomścić moje rodzeństwo. Nie wymagam, byście szli ze mną, bo pewnie większość zginie. Wątpię, żeby mój brat został sam bezbronny i zamknięty w kilku komnatach.

- Jakże to tak! Pójdziemy za paniczem w ogień! - obruszył się pierwszy.

- Pójdziemy! W ogień! - zawtórowali mu wszyscy, poza naburmuszonym strażnikiem, którego nazwano Heniem.

- Heniu, no co ty, czemu siedzisz cicho? Zgnić chcesz w tym korytarzu czekając aż jakiś parobek ci tęb rozwali miotłą? - skarcił go właściciel niskiego, ochryplego zapewne od gorzałki głosu.

- A psiamać, zgoda! I tak w tym hałasie teraz nie zasnę...

Dopiero teraz Leowigild poczuł zmęczenie. Wszystkie mięśnie piekły go od szaleńczego biegu przerywanego wściekłą wymianą ciosów. Chwila odpoczynku i spotkanie sojuszników sprawiły, że uszło z niego powietrze jak z kowalskiego miecha. Kręciło mu się w głowie i czuł się, jakby zaraz miał zemdleć. Nie mógł jednak okazać słabości. Jeśli chcą pokonać Ermenfryda i zapanować nad tym całym chaosem, strażnicy muszą odzyskać wiarę w siebie.

Ruszyli szybkim krokiem w kierunku komnat Ermenfryda, zatrzymując się co jakiś czas i nasłuchując odgłosów walki. W zamku panowała jednak całkowita, wręcz złowieszcza cisza. Wszystko wskazywało na to, że zamach stanu dobiegł końca.

//ale czy na pewno zamach stanu? a może przewrót?

Masywne podwójne dębowe drzwi prowadzące do komnat Ermenfryda były lekko uchylone, wciąż nie było widać nikogo żywego. Kilku martwych służących leżało z poderżniętymi gardłami w bocznym korytarzu, prowadzącym do spiżarni i kuchni.

Leowigild zatrzymał się przed drzwiami i dał znak strażnikom, by zrobili to samo. Zamart w bezruchu, starając się wychwycić nawet najcichszy szmer mogący zdradzić przeciwnika. Nic jednak nie było słychać. Całkowita, upiorna, chwytająca za serce cisza.

Ogarnęła go panika. Nie potrafił dostrzec zagrożenia, ale czuł je całym ciałem. Miał wrażenie, że oplata go lodowato zimny płaszcz, zadrżał mimo woli.

- Nic nie słychać. Wchodzimy do środka, szukamy przede wszystkim Ermenfryda. Bądźcie bardzo ostrożni - powiedział ściszym głosem strażnikom, po czym pchnął potężne drzwi. Przez moment wydawało mu się, że wyrzeźbiona na nich głowa lwa drwiąco się uśmiecha.

W przedsionku nie było nikogo. Na ścianach wisiały potężne dwuręczne miecze pamiętające czasy Jagiełły, a na przysadzistej komodzie przysiadł w

Zgodnie z planem pancerna karoca czekała na głównym dziedzińcu zamku. Ermenfryd otoczony przez swoją gwardię przyboczną wyszedł powoli i rozejrzał się. Wokół jego prywatnego pojazdu stali już uzbrojeni ludzie. Jak zwykle przeszukali woźnicę i sprawdzili, czy nikt nie zamontował przy kołach ładunków z prochem. Był Głównym Administratorem. Nie mógł ryzykować.

Z zadowoleniem skinął dowódca zamkowej straży, który wyprężył się, zasalutował i otworzył drzwiczki. Ermenfryd ruszył pewnym krokiem, zwinnie wskoczył po schodkach i usadowił się na wygodnej kanapie. Zbrojni właśnie kończyli podnoszenie kuloodpornych szyb i uszczelniali drzwi. Już za chwilę stanie się najbezpieczniejszym człowiekiem na świecie.

Na kanapie zwróconej tyłem do kierunku jazdy siedział już jego sobowtór. Choć znalezienie odpowiednio podobnej osoby było niezwykle trudne, zapewniało znienawidzonemu w Królestwie Bawarii Namiestnikowi Krakowskiemu dodatkowe zabezpieczenie. Poza najbardziej zaufanymi ludźmi nikt nie wiedział, kiedy pojawia się sobowtór, a kiedy prawdziwy władca. Minister Bezpieczeństwa doniósł mu ostatnio, że znaleziono kolejnego bardzo podobnego człowieka, co stwarza przed nim jeszcze więcej możliwości. Polityka była jak dżungla. Ermenfryd był w niej tygrysem.

Powóz zbliżał się niespiesznie do krakowskiego rynku. Na ulicach zgromadził się już tłum, gwardziści musieli siłą torować drogę. Ermenfryd zamknął oczy i wsłuchał się w krzyki gawiedzi. Choć szczelne ściany powozu tłumiły wszystko i nie dało się rozróżnić słów, bez trudu dało się wyczuć u zgromadzonych podniecenie wymieszane ze strachem.

Wilhelm poprawił torbę z jego ostatnim dziełem i rozejrzał się dookoła. Ermenfryd miał wkrótce przybyć na dekorowaną właśnie scenę wraz ze wszystkimi swoimi doradcami. Cały Kraków pękał w szwach od jego szpiegów i agentów, żaden jednak nawet nie spojrzał na oficera Armii Wszechpolskiej. Był sprzymierzeńcem, szkoda więc było tracić na niego czasu, gdy wokół zapewne roiło się od spiskowców i skrytobójców. Nikt nie zwrócił uwagi na nieco krzywo przyszyte gwiazdki i inny krój munduru – wyraźne oznaki pośpiechu i podeszłego wieku. Nikt nie zwrócił uwagi na jego nerwowe ruchy. Wkrótce przyjdzie im za to zapłacić.

Mauser przysiadł na kilku schodkach prowadzących do jednego z krakowskich zamtuzów. Musiał odpocząć. Zaczął dokładnie przypatrywać się wszystkim tym kamieniczkom ze swoimi sklepikami na dole i drogimi mieszkaniami na piętrach. Uśmiechnął się ciepło. Gdyby żył Paul, pewnie także i tu, w barbarzyńskiej i niebezpiecznej stolicy nieprzewidywalnej Polski rządzonej przez szaleńca, otworzyliby filię swojej firmy. Może zajęłaby miejsce sklepu niejakiego Gemeckera, który głośno żalił się swojemu sąsiadowi, że już od dwóch miesięcy próbuje wynająć część swojego sklepu jakiemuś wieśniakowi spod Warszawy, gotowemu zapłacić astronomiczną cenę za małą kanciapę w nieciekawej lokalizacji.

Rynek powoli się zapełniał. Wojskowi przegonili wszystkich żebraków i dokładnie przeszukiwali wchodzących cywilów. Tajni agenci byli wszędzie. Zabawę czas zacząć.

Czarny, pancerny powóz wjechał na rynek. Wilhelm uśmiechnął się ironicznie. Sam go projektował. Człowiek był w nim nieśmiertelny. Żadna kula, nawet armatnia, nie była w stanie zranić pasażera. Nie było jednak jak do tej pory okazji do sprawdzenia tego w praktyce, bo nie był na tyle głupi, by zaatakować pędzący wehikuł eskortowany przez kawalerię.

Powóz podjechał pod scenę. Ermenfryd wyszedł powoli i ruszył schodkami na podwyższenie. Padł strzał i głowa Wielkiego Imperatora rozprysła, ochlapując scenę i najbliższe rzędy wiwatujących mieszanką krwi z kawałeczkami mózgu. Pociski wybuchające – projekt Paula...

Tajni agenci szybko zlokalizowali nieopatrznie przepuszczonego zamachowca i właśnie wywlekali jego ciało z placu. Głupiec. Zawsze pierwszy wychodzi sobowtór.

Prawdziwy Ermenfryd wyszedł, gdy tłum nieco się uspokoił. Dumnym krokiem wszedł na podest i stanął przy wielkiej tubie wzmocnieniowej, również projektu Paula. Zaczął przemawiać.

Polska to osobne państwo. Polsce należy się niepodległość! Polską nie będzie rządził żaden władca mikroskopijnego państewka. Trzeba przedsięwziąć odpowiedni kroki!

Jedno było pewne – Ermenfryd był zdrajcą. Zdradził Króla Bawarii (oby żył wiecznie i zniósł podatki), Maksymiliana II, zdradził własnego ojca i, co najbardziej bolało, zdradził braci Mauserów.

Komentarz [S3]: wątek Ermenfryda wjeżdżającego na rynek

Komentarz [S4]: Tutaj dociągnąć

Komentarz [S5]: a czy oni czasem nie mieli właśnie w Krakowie swojej pracowni? Może pracownia była na Wawelu, a oni chcieliby otworzyć sklepik dla "cywili", a nie tylko projektować i produkować wynalazki na potrzeby dworu i wojska.

Król machnął na to ręką. Ojciec umarł. Ale Mauser nie przebacza. Umrzeć też nie zamierza. Przynajmniej dopóki żyją tacy jak Ermenfryd.

Wynalazca wstał nie bez trudu ze schodków prowadzących do zamtuza o dosyć wątpliwej renomie i powoli ruszył w kierunku podwyższenia i opancerzonego powozu. Po drodze zdjął z ramienia skórzaną torbę i niepostrzeżenie położył ją w załomie muru.

- Rozkaz Ermenfryda: usunąć jego wehikuł z rynku, aby nie doszło do sabotażu. Będę to nadzorować.

- Stopień i nazwisko! – oficer wyraźnie się zaniepokoił.

- Genialny Wynalazca Mauser. Wilhelm Mauser.

- Mauser?! Jesteś zdrajcą i rojalistą, na którego został wydany wyrok śmierci! W imieniu Wielkiego... - młodzieniec nie zdążył ściągnąć z ramienia karabinu. Ciche „puf” wywierciło mu dziurę w mundurze, nieco poniżej serca. Wilhelm, klnąc dokuczające kolano, przyklęknął przy umierającym.

- To jest *samostrzał kieszonkowy* – wskazał na trzymany w ręce przedmiot, wyglądający jak miniatura karabinu. Projekt Paula. Żołnierz, jeśli był pod wrażeniem, to nie dał tego po sobie poznać, jedynie zarządził cicho.

- A to... - wynalazca pokazał na długą i grubą rurkę z mnóstwem małych otworów, którą właśnie odkręcał od samostrzału – jest *wyciszacz*. Mój projekt. Prawda, że genialny?

Oficer nie odpowiedział. Leżał martwy z oczyma szeroko otwartymi, nie wiadomo czy ze zdziwienia, podziwu, czy bólu. Wilhelm zręcznie jak na swój wiek wskoczył do powozu i popędził konie. Nie było czasu do stracenia.

Gdy zbliżał się do Wieliczki, zatrzymał się. Odległość była odpowiednia, choć konie pewnie i tak niedługo padną. Wyciągnął z kieszeni munduru mały, kwadratowy przedmiot z dźwignią zamkniętą pod kratowaną, metalową klapą. Zawahał się na moment. Kraków bardzo mu się podobał. Królowi (oby żył wiecznie i zniósł podatki) również. Nie miał jednak wyboru. Ktoś musiał pozbyć się niebezpieczeństwa i raz na zawsze unicestwić tę przeklętą Polskę, która sprowadza obłęd na rządzących i która, niczym wilk, żądna jest krwi i władzy.

Uniósł klapę. Przysunął się do małego, pancernego okienka i obserwując las, za którym był Kraków, pociągnął dźwignię. *Przesyłacz informacji w polu eterycznym*, jak nazwali z Paulem swój prototypowy model, mógł sterować zapalnikami z ogromnych odległości, nawet takich, jak z Krakowa do Wieliczki. W połączeniu z *ładunkiem cząsteczkowym* dawało to niesamowite możliwości.

Przez chwilę nic się nie działo. Wilhelm wiedział jednak, że wszystko zadziała tak, jak trzeba. Eter po prostu spowalniał nieco informację...

Najpierw błysnęło z ogromną siłą. Jak gdyby słońce uderzyło w Ziemię. Chwilę później zaczęło się przedstawienie. Potężny kłęb dymu, formującego się w charakterystyczny dla wybuchu bomb ładunków cząsteczkowych, wskazywał miejsce, w którym jeszcze niedawno był Kraków. Polska już się nie odrodzi. Będzie spalonym skrawkiem bezludnej ziemi, a ocalałym obszary posłusznie przyporządkuje się Bawarii. Tak jak chciał Albert. Jego ostatnie życzenie, wymamrotane na łożu śmierci, spełniło się.

Konie, zgodnie z przewidywaniami, padły. Wilhelm musiał teraz odczekać, aż szalone cząstki przestaną latać w eterze. Później będzie mógł wysiąść i uciec z resztek tego szalonego kraju. Już wszystko sobie zaplanował. Pojedzie do Monachium, skąd zabierze znaną z niechęci do zmarłego przed chwilą brata i ucieknie z nią do Stanów Zjednoczonych, gdzie postara się zapewnić jej bezpieczeństwo, by ród von Tannenbergów mógł przetrwać.